

daktycznych, inżynieryjno-technicznych i administracyjnych. Rektor Turski dał mi wolną rękę w załatwianiu spraw poza uczelnią, wymagając jedynie, bym go o wszystkim uprzednio informował, czym zyskał sobie u mnie duży szacunek. Jak mnie zapewniano w Ministerstwie przyznawane etaty nie uszczuplały ogólnej puli uniwersyteckiej. Niektóre przypadki moich starań można by uznać za groteskowe.

Pamiętam, jak w 1964 r. Jacek Karpiński zgłosił się do nas oferując gotowość zbudowania wieloczynnościowego, małego, ale jak na owe czasy w miarę szybkiego komputera, mogącego obsługiwać nie tylko aparaty pomiarowe, ale jednocześnie wykonywać inne obliczenia. Przy tragicznym niedoinwestowaniu w zakresie techniki obliczeniowej była to oferta nie do odrzucenia pod warunkiem, że potrafię zatrudnić 12 ludzi gotowych natychmiast podjąć pracę. Było połowa listopada i mając jedynie dwa wolne etaty udałem się ze swymi kłopotami wprost do Ministerstwa. Niestety tam nie powiadomiono, że przed paru dniami rozdzielono ostatnie 80 etatów między różne uczelnie w całym kraju. Kiedy po dłuższej rozmowie stwierdziłem, że mimo całej życzliwości naprawdę nie mogą mi pomóc, zwróciłem im uwagę, że jestem absolutnie pewien, że w ciągu tych paru tygodni do końca roku nie wszystkie szkoły będą w stanie w pełni wykorzystać przydzielone im etaty i na pewno część z nich pozostanie nie obsadzona. Poprosiłem więc, by dodatkowo z tej samej puli przyznano nam te 10 etatów, a dzięki temu żaden etat nie zostanie zmarnowany. Jedyłą ich odpowiedzią była uwaga, że jestem diabelnie chytry i że muszą się ze mną zgodzić. Okazało się później, że jeszcze jakieś tam etaty pozostały nie obsadzone. Karpiński istotnie zbudował nam komputer, wprawdzie znacznie później niż obiecywał, ale mimo wszystkich ostrzeżeń, jakimi mnie cały czas raczono, komputer do dziś działa prawie bezawaryjnie. W latach sześćdziesiątych był to komputer zaledwie drugiej generacji, zbudowany bez użycia obwodów scalonych, za to bez jakiegokolwiek wkładu dewizowego.

Budżet Instytutu nadal był zbyt niski, by móc w jego ramach prowadzić normalną pracę. Był to okres, w którym nie było jeszcze problemów centralnie sterowanych. Wiele placówek szkół wyższych potworzyło tzw. gospodarstwa pomocnicze. Rozwiązanie to w zasadzie mogłoby być sensowne, miało jednak dość istotną wadę, że gospodarstwo takie często zaczynało żyć życiem własnym, mało związanym z potrzebami placówki macierzystej. Podejmowano roboty zlecane z zewnątrz, nawet nie pasujące do profilu placówki, która je stworzyła, byle tylko były finansowo korzystne. Nie zdecydowałem się szukać rozwiązania naszych kłopotów na tej drodze. Uznałem, że jeśli tylko potrafię zdobyć odpowiednie fundusze na prace zlecane nie tylko dla obcych, ale i dla własnych pracowników inżynieryjno-technicznych, będę mógł zachęcić ich do bardziej intensywnej, akordowej czy nadliczbowej pracy wyłącznie dla na-